

Cena numeru 8 zł.

# ROZGI BIJACO TYDZIEŃ

Rok 1

25 Sierpień 1946

Nr 3

Jak donosi prasa

Z resztek wojska polskiego w W. Brytanii  
utworzono korpus pomocniczy



Rys. H. TOMASZEWSKI

„KORPUS” POMOCNICZY

# Obywatel Różga ma głos



Kłopoty w zeszłym roku ludzie mieli większe, czy co, dość, że pod względem śmieci spokój, można powiedzieć, był absolutny. Każdy lokator, czy to sam, czy też przez rodzinę lub kuchnię, kubło swoje na podwórzu odstawiał, albo na ulicę — i już. Na powórze cały kłopot z tego powstał, a na ulicy pagórki, lecz lokatorzy cieszyli się, że dzieci mają się gdzie bawić, i nikt większego rabanu nie podnosił. Raz tylko, pamiętam, stolówka w naszym domu wysypała przed sien kartofelki, z których wyrabia różne dania dla pracowników. No, to wtedy rzeczywiście z wszystkich okien zaczęto trochę pokrzykiwać:

— Panie Różga, co jest, do ciężkiej anielki, ubikację pan zamknij, bo wytrzymać nie można!

Ale w ogóle to wytrzymywali. Bardzo mnie to dziwiło, a kiedy zaszczepiłem administratorowi, ten położył palec na ustach:

— Pst — szepnął tajemniczo. — Panie Różga, diabeł nie śpi. Nie śmie pan, obywatelu, go budzić. Bo i czego się właściwie panu zachciewa? Bardzo dobry znak, że lokatorzy nie krzyczą. Zaraz odnośny urząd zwaliliby na nas robotę i co, pytam, wtedy? Komorne niskie, a wywózka śmieci droga, nierentowna i w ogóle się nie oplaci. Więc milez pan i zajmij się lepiej swoimi sprawami!

— Jakto? — powiedziałem panu administratorowi — Jakto: swoimi sprawami? Śmiecie chyba — moja branża, a ponadto człowiek sam dzieci ma i cholery się obawia...

A pan administrator tylko się skrzywił:

— Cholery? E, skądże znów! Najwyżej — tyfusu. A od tyfusu i tak i tak szepczą, więc wszystko w porządku.

Z tym porządkiem to słowa pana administratora się nie sprawdziły, bo już z wiosną gazety za śmiecie się wzięły i dawaj przypierać władze oczyszczające do murów śmietnika. Że to niezdrowo i nielegalnie i co zagrańca sobie pomyśli. Władze, ma się rozumieć, przyznały gazetom świętą rację, obiecały śmiecie wywieźć, ale nie wszystkie. I bardzo słusznie: nie wszystkie odpadki podpadają przecie pod śmiecie. Na ten przykład obierki. Tu należy skutecznie wymian — miasto wsi i wieś miastu. Dać obywatelowi włościaninowi obierek, a obywatel włościanin da za to mleka. A co do śmieci papierowych, to lokatorzy winni je sprzedawać Centrali Przemysłu Papierniczego, a nie marnotrawić na podwórzu oraz na ulicy. Bardzo słusznie. Szkoda tylko, że władze nie wzięły pod okólnik pamiętek po darach UNRRA. Dużo pudełek ciągle się koło śmietnika poniewiera. Właśnie niedawno z ob. Czyżykiem, metalowcem z

rodziną, zrobiliśmy sobie na podwórzu konferencję.

— Cóż — powiada Czyżyk — pudełka — dobra blacha i, można powiedzieć, surowiec. Przydałby się dla naszego przemysłu. Zebrać, panie Różga, to wszystko i dostarczyć jakiej hucie...

— Racja, racja — przytaknałem — ktoś się powinien tym zająć. Ale kto?

— Prywatna inicjatywa — zaśmiał się Czyżyk, bo zauważył idącego w naszym kierunku pana Majoneza, obywatela miejskiego na pięciu pokojach z kuchnią i łazienką i w ogóle właściciela sklepu. A pan Majonez podszedł do nas z szybkością, na jaką pozwalał mu zachowany z przedwojennych czasów brzuszek. Podszedł i — kopnął z całej siły pudełko po konserwach, wołając z radością:

— No, obywatele, koniec z tymi blachami. Już nie będą nam zaśmiecać podwórza!

— Niby dlaczego? Pan je sprzątniesz?

— Cóż znów! Pudełek nie będzie, bo UNRRA, he, he, he, — rozwiązana!

Czyżyk się bardzo oburzył.

— To pan się z tego cieszysz? Kraj bidny — te dary to wielka pomoc.

— Ale nie dla mnie — przerwał szyderczo Majonez — ja ich na kartki nie dostawałem. Teraz będzie równo: nikt ich nie dostanie.

I pogwizdując wesoło, oddalił się w stronę piwnicy. Czyżyk popatrzył za nim i rzekł:

— Dziwna rzecz. Rzeczywiście biedaczek na kartki konserw U.N.R.R.Y. nie dostawał, ale różnych pudełek po nich to najwięcej z całej kamienicy wyrzucał.

## G. B. Shaw

ukończył 90 lat



Rys. H. Tomaszewski

Shaw zachorował. Wezwano lekarza. Ten bada puls znakomitego pisarza i mówi: Pański puls idzie zbyt powoli.

— Nic nie szkodzi, panie doktorze, mam dosyć czasu, nie śpieszy mi się na tamten świat.

Karol Szpalski

# Odpowiedź Marianowi Hemarowi

Twój wiersz jest w Polsce. Jeszcze nie był w druku, A już się pętał po warszawskim bruku. Z ręki do ręki wśród szeptów i sporu Szedł nielegalny posmaczek utworu. Brał pogromczyka i cieszył endeka, Że ktoś o Polsce pamięta z daleka, Że ktoś w Londynie cierpi za tysiące Funtów angielskich. I wiersze gorące Pisz dla dobra biednego narodu, Jakby zapomniał, kim sam był za młodu. To oni z huczkiem i bez drgnienia powiek Krzyknęli: Hemar to właśnie nasz człowiek. Śmieszne to. Prawdę? Bo sam jesteś Żydem. Matka — Żydówka. I ojciec twój idem. Śmieszność tej sprawy w tym jednym się streszcza: Na endeckiego Żyd wypłynął wieszczka.

A tobie tam nieźle. Przez cały czas wojny Pan byłeś, Marianie, wspaniale dostojny. Poważny, nadęty, jak wieszcz narodowy, Pisałeś poezje, toczyłeś rozmowy, Trzymałeś na duchu, poileś nadzieją, Karmiłeś rodaków. I losów kolejną Wyrosłeś na trąbę wprost całej polskośći. Londyńskiej polskośći. Płonąłeś z miłości Do kraju, ojczyzny, do ruin Warszawy. Walczyłeś dla Polski. Dla funtów. Dla sławy. (A przy sposobności po pięknym Hyde-parku Łazileś cyczuski oglądać, Hemarku)

Mistrzu nad mistrze, coś krzepił narody, Jeżeli w Anglii nie brak ci swobody, Jeżeli wolność tam żyje sumienia, Jeżeli sumienie, poeto, doceniasz, Napisz, co myślisz o wielkim szantażu Nowych przyjaciół. I czemu ni razu Nie wykrzyczałeś przekleństwa atomu, Czemu nie idziesz od domu do domu, Z wieścią pochmurną, że wojnę gotują, Że nowe mordy Europie szykują. Czemu nie krzyczysz, że światła pół zginie? Jąbym tak pisał. Gdybym był w Londynie. Napisz, co myślisz o tym, że lordowie Zabardzo dbają o germańskie zdrowie. Pióro się prosi, sens sam się nawinie. Jąbym tak pisał. Gdybym był w Londynie.

Wiesz, co to obóz? Co groza łapanek, Oświęcim i czarny od dymu Majdanek? Wiesz, co to wojna? Co szal gestapowca? Czy wiesz, jak boli smagnięcie bykowca? Nie wiesz poeto, co to ból człowieka. Bo Hemar wojnę oglądał z daleka. A Niemców widział na filmie gdzieś w kinie. O tym się nie wie. Gdy się jest w Londynie.

Czemu nie piszesz, że ci przyjaciele, Z najczcigodniejszym Churchilllem na czele, Polskę chcą zabrać zachodnie rubieże, Czemu nie piszesz, tak jak myślisz szczerze?

Czemu nie piszesz z godnością Polaka Nic o zachodzie? To twa wolność taka? Że precz Niemiaszkom z łapą od Wrocławia! Czy taką trudność to ci, bracie, sprawa?

Tyle tematów. Ale ty umarłeś, Bo się poprostu uparłeś. Uparłeś. Krzycz o tym wszystkim! Treść sama wypłynie Jąbym tak krzychał. Gdybym był w Londynie.

A teraz pomyśl — wrócić, czy nie wrócić, Polskę zostawić, czy też Londyn rzucić? Czy tam z nostalgią i śmiechem szyderczym, Czy tu z narodem i z gorącym sercem?

A gdy chęć powrotu do głowy ci strzeli, To Kielce omłaj. I twych wielbicieli.

## Stropowe chwytu

Z rozpoczęciem premiery prasowej w teatrzyku „Miraż” zwlekano długo, tak że zniecierpliwiona publiczność zaczynała od czasu do czasu klaskać, a nawet (gdzieś w tylnych rzędach) nieśmiało tupać. Rzędy pierwsze, wypełnione tak zwaną watą (burmistrz, milicja obywatelska, związki zawodowe, partie polityczne, organizacje społeczne tudzież dwóch współpracowników redakcji miejscowej gazety) zachowywały się znacznie spokojniej, mimo że i one zdradzały objawy pewnego zdenerwowania.

A powód opóźnienia był prosty. Czekar na przybycie Stefana Flutka, recenzenta teatralnego dziennika „Echo”, człowieka, z którego opinią liczyło się całe miasto. Jedna jego ujemna recenzja mogła położyć sztukę na obie łopatki, jedna przychylna wzmianka ściągała do teatru tłumy.

Nadszedł wreszcie. Był zgarbiony, rozczochrany, z pliką papierów pod pachą, pokasujący, z gardłem obwiązanym wielką kraciastą chustką. Usiadł samotnie i patrzył na scenę poważnie, bez uśmiechu. Po skończeniu komedii wyszedł, nie zamieniwszy z nikim ani słowa.

A nazajutrz czytano w „Echu”: — „Komedia „Przygody panny Lody” cierpi na typowo polski brak inwencji. Wprawdzie gra artystów była przekonująca — zwłaszcza p. Loda Voda, odtwórczyni roli głównej, grała z wyrafinowaną finezją, nie wypadając z tej roli ani na moment — jednakże całość wypadła blado, prawdopodobnie dlatego, że pozbawiona była inicjatywy twórczej oraz stropowych chwytów”.

Recenzję przeczytali: p. Loda Voda, gwiazda teatru „Miraż”, jej partner, uwielbiany przez wszystkie pensjonarki Czecho Trombisz, dyrektor Pukajło, reżyser Cipczykiewicz, kasjer Rzepka i bileter Bums.

Loda Voda czytała raz, drugi i trzeci uważnie. Przetarła swoje słynne foliowe oczy — ostrożnie, aby nie rozmarzać rzęs — a potem zadzwoniła do Trombisza.

— Czecho, czytałeś „Echo”?

— Tak.

— Co sądzisz?

— Hm, tak... owszem. W zasadzie Flutek ma rację. Uważam tylko, że za mało miejsca poświęcił mnie, to jest... nam. Człowiek się namęczył, napocił, żeby potem taki...

— No tak — przerwała — Ale słuchaj. Czy ty przypadkiem nie wiesz co to jest stropowy chwyt?

— O to ci idzie? No widzisz, stropowy chwyt to jest... jakby ci to wyjaśnić... to jest... nie, tego nie da się tak wytłumaczyć w dwóch słowach. Przy okazji, jak się spotkamy, to ci powiem. Narazie pa!

W godzinę później Czecho Trombisz siedział w gabinecie dyrektora Pukajły. Ten drapał się w zakłopotaniu po łysinie.

— Stropowy chwyt? No tak... hm... to jest, rozumie pan... kwintesencja danej sztuki. Zresztą przy okazji dokładniej to panu wyjaśnię. Teraz jestem bardzo zajęty. Do zobaczenia!

Nieco później, w kawiarni przy półczarnej Pukajło pochylał się do ucha reżysera Cipczykiewicza.

— Powiedz mi, ale w największym sekrecie, co to jest stropowy chwyt?

— Nie wiem najmilszy, słowo daję, że sam nie wiem. Ale spytajmy o to Rzepkę.

Jednakże Rzepka również nie wiedział, a co gorsza nie wiedział i bileter

Bums, do którego zwrócił się w ostatecznej rozpaczy. A tymczasem wyrażenie to obiegło całe miasto. Ludzie powiadali sobie, że komedii „Przygody panny Lody” brak jest stropowego chwytu, że zatem cała rzecz jest do luzu.

W teatrze byli w rozpaczy. Skąd dowiedzieć się, co miał na myśli Stefan Flutek? Wreszcie reżyser Cipczykiewicz wpadł na genialny pomysł. Postanowił zwołać konferencję prasową ze śniadaniem w salonach hotelu miejskiego.

Rozesłano zaproszenia. Przybył burmistrz, milicja obywatelska, związki zawodowe, partie polityczne, organizacje społeczne tudzież dwóch współpracowników redakcji „Echa”. Czekano jeszcze tylko na Stefana Flutka.

Wreszcie zjawił się i on. Był zgarbiony, rozczochrany, z pliką papierów pod pachą, pokasujący, z gardłem obwiązanym wielką, kraciastą chustką.

Konferencja rozpoczęła się. Kiedy już przedyskutowano kilka butelek koniaku a wzrok obecnych nabrał rozmazanej miękkości, Loda Voda przysunęła się bliżej do swego sąsiada, słynnego recenzenta Stefana Flutka i szepnęła:

— Redaktorciu, proszę mi powiedzieć co to jest stropowy chwyt? Loda bardzo chce wiedzieć?

— Ach, o to ci idzie moje dziecko? — odszepnął równie tajemniczo Stefan Flutek, ujmując mocnym chwytem swą sąsiadkę w pól. — Wytłumaczę ci to chętnie. Otóż widzisz — stropowy chwyt, to jest...

W tej chwili ostry atak kaszlu przerwał mu zdanie. Redaktor Stefan Flutek zakrzuszył się potężnie, poczerwienił, oczy wyszły mu z orbit i runął ciężko na podłogę. Srowadzony pośpiesznie lekarz stwierdził zgon wskutek udaru sercowego.

I nikt nigdy nie dowiedział się co chciał powiedzieć przed śmiercią słynny recenzent. Jednakże dykcja teatrzyku „Miraż” reklamując następną z kolei premierę „Z grzechem wdał” ogłaszała: „Sztuka pełna emocjonującego napięcia oraz stropowych chwytów”.

IRENA TOMSKA

# interpelacje

## Do Pana Ministra Kultury i Sztuki

Panie Ministrze, proszę wybaczyć —  
Nie mogę pojąć — dlaczego?  
Ci sami ludzie — jednak inaczej,  
Prawie że wręcz coś innego!

Sam gdy nie mogę przyczyn poszukać,  
Do Twego zwracam się biura:  
Gdy kulturalna winna być Sztuka,  
Czemu jest — sztuczna Kultura?

W samej Stolicy, ba — i Krakowie,  
Co mówię — nawet tu, w Łodzi —  
Stawają ludzie prawie na głowie,  
Niebardzo jednak wychodzi.

A przecież każdy stwierdzić to może  
I sprawdzić najskrupulatniej,  
Że pisać wiersze, czy płodzić prozę  
Nigdy nie było nam łatwiej.

Przeto ja proszę, Panie Ministrze,  
Gdzie leży sedno problemu?  
Ci sami ludzie, ci sami mistrze —  
Jednak inaczej — i czemu? —

Nietrudno paszport wziąć zagranicę  
Nadychać się atmosfery,  
Lecz po powrocie żadnej różnicy  
Nie widzę, gdy mam być szczery.

Dużą zachętą są wyróżnienia  
I grubsze nawet nagrody,  
A rzetelnego niema natchnienia,  
Sporo natomiast jest wody...

Nadto wskazania są — okólniki,  
Rzec można — jest regulamin —  
Pomimo tego — jakie wyniki?  
Boże się zmiłuj nad nami!

Chyba z rozsądnych nikt nie uwierzy  
Co plotki trąbią do uszu,  
Że sprawę w pewnej osłabia mierze  
Jakiś... sabotaż geniuszów!?

STANISŁAW SOJECKI

## W warszawskich restauracjach wprowadzono popularne dania dla mas



rys. H. Tomaszewski

### Danie dla mas

an Czaray

## Fraszki

NIEBOSZCZYKOWI

Złota w życiu szukałeś, toś się też dorobił,  
Pięć złożonych aniołków, twój karawan zdobł...

SKLEPIKARZ

By Polskę w zwyż podciągnąć, Stwórcę z rana prosi,  
Potem idzie do sklepu i... ceny podnosi...

O MALARZU

Historia malarstwa, kiedyś o nim powie,  
Że uprawiał olej, lecz nie miał go w głowie...

PEWNEJ PANI...

Milczenie jest złotem, — stąd wysnuwam wniosek,  
Że tracisz codziennie oibrymi majątek...

## Rys. Peyuel'a (Francja)



Promenada



Pokój w pokoju



Na balu strażaków



Mąż panem domu

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## O mistrzostwie namydlania

Znam się na mydle, proszę pana,  
Bo ze mnie fryzjer doświadczony:  
Grunt to mydlana gęsta piana,  
A człowiek wnet jest ogolony.

Gdy broda dobrze namydlona,  
Niech pan szanowny zauważy,  
To wtedy brzytwa wyostrzona  
Najlepiej ślizga się po twarzy.

Namydlam gości mych codziennie,  
Tak lekko, aby gość nie poczuł,  
A że uczciwy fryzjer ze mnie,  
Więc nigdy nie zamydlam oczu.

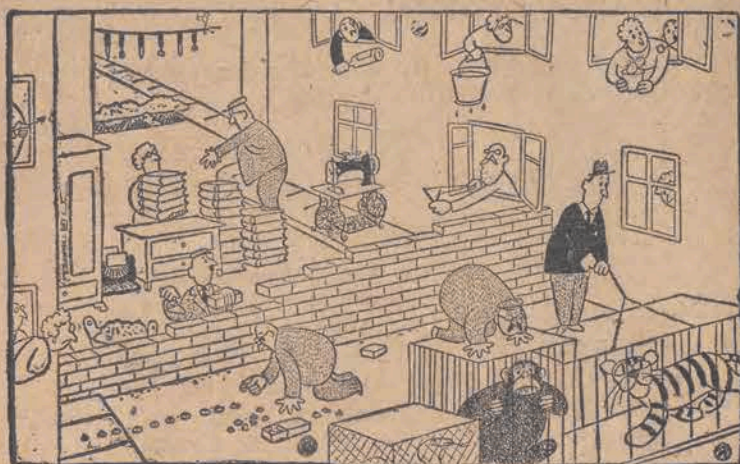
Bo są golarze, proszę pana,  
Co dzierżą pędzel tak w prawicy,  
Że wnet mydlana cała piana  
Gościowi wrazi do żrenicy.

Gdyby był Churchill cyrulikiem,  
Gentleman tegi i uroczy,  
To, proszę pana, wiem — pewnikiem  
Zamydlałby swym gościom oczy.

Jak dziś zamydla je cudownie  
Z cygarem w gębie grubo drabów,  
Zanim angielską brzytwą skrobnie  
Hindusów, Persów i Arabów.

Namydlam gości mych codziennie,  
Tak lekko, aby gość nie poczuł —  
A że uczciwy fryzjer ze mnie,  
Więc nigdy nie zamydlam oczu...

## Przed kontrolą Komisji Mieszkaniowej



Szabrownicy organizują obronę domu

Władysław Smólski

## Na panią

Coraz się młodsza stajesz, pani, rok po roku  
I jeżeli tak dalej pójdzie, bez uroku,  
To za lat kilka serso przyjdzie lub skakanka,  
A za dziesięć lat w wózku będzie wozić mamka.  
Tylko z jednym jest kłopot, gdy o ciebie chodzi:  
Kto cię też po tym wszystkim znów na świat urodzi?

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## Na papierosy przydziałowe

W pięknym sierpniowym jarzącym się słońcu  
Staję po „Wolność” i „Bałtyk” w ogonku.  
Nagle sprzedawca powiada do gości:  
— Nie ma „Bałtyku” i nie ma „Wolności”,  
— A kiedy będą, kochany mój panie?  
— W środę pan „Bałtyk” i „Wolność” dostanie.  
W środę przychodzę. To samo. Znow braki.  
Jest mi bardzo swojsko, więc palę swojaki.  
Mija bezplodnie w ogonku dni szereg,  
Trzydziesty drugi przeklinam numerek.  
Mam już od stania na nogach żyłaki,  
Klnę jak dorożkarz i palę swojaki.  
— Panie sprzedawco, to boskie skaramie!  
— W piątek pan „Bałtyk” i „Wolność” dostanie.  
W piątek przychodzę i znow to mnie złości:  
Niemaj „Bałtyku” i niemaj „Wolności”.  
Jesień już, deszcz, odlatują już ptaki,  
A ja wciąż kurzę i kurzę swojaki,  
Już konferencja skończona paryska,  
A ja wciąż kurzę te papierosiska,  
Panie Monopol, przyjm strofy te mojej  
Czy papierosy łwe w końcu wystoję?

Ludmiła Zwierzycka

## Fraszki

## Bajeczka

Raz wilk napadł owcę z białką w manowcach.  
Mądra (wbrew przysłowiu) namawia go owca:  
— Zjedz kozę — (a koza obok właśnie stała..)  
— To będzie wilk syty, no i... owca cała —

## W Lichini

Pewien gospodarz we wlosce Lichini,  
za dużo żarcia dał raz swojej świni.  
Ta rzekła, czując, że ją kiszki lechcą:  
— Czego zanadto, to i... świni nie chcą. —

## Obywatel Huppe

W czasie głodówki obywatel Huppe  
z dwóch kruków sobie ugotował zupę  
i rzekł maczając łyżkę swą w rosole:  
— Już kruk krukowi... oka nie wykole. —

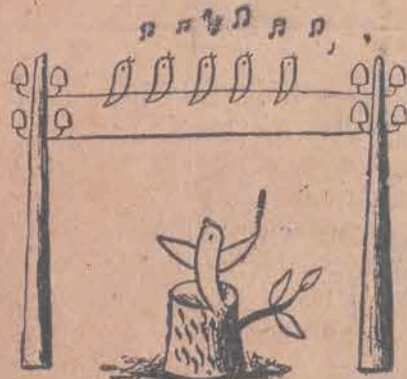
Hieronim Mączka ma się ożenić. wyście. Zdecydowano, że podczas ką-  
Swatają mu posażną pannę, wyli- pieli panny młodej kandydat na męża  
czają jej zalety... będzie podglądał przez dziurkę od kła-  
— Nie mówię — nie! — Tylko — cza.  
jeden warunek... Po „seansie” pytają Mączkę jak  
— ? — wypadł egzamin?  
— Muszę zobaczyć ją tak, jak ją — Nie ożenię się z nią..  
Pan Bóg stworzył. — Dlaczego? —  
Po pewnej konsternacji znaleziono — Mrz wz dingi wozła.



Słońce wstaje



Rendez-vous



Koncert symfoniczny



Życie jest piękne

Władysław Smólski

## Ankieta

Jednym z najważniejszych zagadnień, jakie nastroczają się obecnie w Polsce, to sprawa przyrostu ludności. Wiadomo, jak wielkie straty ponieśliśmy w czasie wojny. Chwila dziejowa wymaga od narodu naszego jak największej liczebności. Tymczasem okoliczności składają się jak najfatalniej. Nie tylko, że podczas wojny zginął kwiat męczyzny, ale ci którzy wracają z obozów, mogą zawiesić pokładane w nich nadzieje kraju. Słowem, jest to sprawa paląca, która wymaga od społeczeństwa wiele wysiłku i dobrej woli. Powaga zagadnienia wymaga stałej czujności i napięcia. W tym celu udałem się w teren z ramienia redakcji „Różej”, aby zasięgnąć opinii wśród szerszych warstw społecznych, które jak wiadomo w tej sprawie mają najwięcej do powiedzenia.

Irena Dolska, działaczka ligi kobiet, lat 38. — Zagadnienie to jest tak wielkiej wagi, że, moim zdaniem, powinno się w jak najkrótszym czasie założyć „Ligę Zwiększania Przyrostu Ludności”, do której weszłyby przedstawiciele wszystkich stronnictw, związków zawodowych i armii. Liga wyłoni z siebie organy wykonawcze: może „Centralę Przyrostu Ludności”, oraz oddziały prowincjonalne...

Rozmowę przerwał nam telefon. — „Już wychodzę, kotku”. — rzekła p. Dolska.

2) Felicja Kozłowska lat 54, matka 2-ech córek po lat 27, 29 — „Czemu się dzieci nie rodzą? Bardzo prosto, bo mężczyźni nie chcą się żenić, bracia na siebie obowiązki... Tylko, panie, jak motylek — z kwiatka na kwiatek. A jak na to poradzić? Wprowadzić przymus małżeński.

— No tak, ale jeśli męczyzna nie zechce. Jakie wprowadzić sankcje, kary?

— Jakto jakie? Karę śmierci.

3) Edward Pojek, działacz polityczny, kandydat na posła do Rady Narodowej: — Kryzys populacyjny jest skutkiem warunków ekonomicznych, wynikających ze złego podziału środków produkcji, których upaństwowienie rozwiąże zagadnienie zastój erotycznego. Należy unarodowić męczyzn i w ten sposób położyć koniec walce klas na dalszym odcinku gospodarczym, co niewątpliwie przyspieszy tempo produkcji, przyczyniając się do dzieła odbudowy kraju.

4) Wanda Kwiatkowska lat 35, męzalka, nauczycielka historii w liceum męskim. — „Rozpatrując tę sprawę w perspektywie historii, nasuwają się różne obrazy rozwiązania jej na przestrzeni wieków. Uderza tu również dbałość nie tylko o ilość, ale i o jakość. Jeśli zaś mamy planowo starać się o powiększenie przyrostu, to musimy

dbać i o poziom produkcji. W Sparcie np. istniało prawo, że jeśli stary męczyzna żeni się z młodą kobietą, to musi się wystarać o młodego przyjaciela, z którym by jego żona miała dziecko. U nas się o to mąż nie potrzebuje starać. Pierwsze próby planowej eugeniki stosował Ludwik XIV, koczując kilkaset par z najzdrowszych i najpiękniejszych młodzieńców...

Zabrział dzwonek na lekcję.

— Przepraszam pana. Muszę tę sprawę przedyskutować z moimi uczniami. 1934 A

5) Felicja Konik, lat 24, porucznik — „Jak poradzić? Bardzo proste — zmobilizować. Trzymać chłopców póki nie będzie skutków. Kiedyś zaś zadania dokonają, puścić do cywila, a dziewczyny do „oboza matek”.

6) Stanisława Kijek, lat 45, panna. — „Owszem, można powiększyć przyrost. A sposób na to? Aby kobiety same oświadczały się mężczyznom.

7) Zofia Markowska, lat 30, lekarka. — „Jest moim głębokim przekonaniem, że zbyt mały przyrost ludności nie jest z powodu małej ilości samców, ale złej woli samic. Weźmy w świecie zwierzęcym. Wiele kur może zapłodnić jeden kogut? Wiele samic jeden cap, bajaran, czy królik? Rozrodczość nie jest sprawą samców, lecz samic. Sposób prosty. Wprowadzić przymus rodzenia dla samic.

— Ale wtedy samcy będą się bać do nich zbliżyć.

— Bo głupie prawo zwyczajowe i honor nakazuje mężczyźnie utrzymanie dla dziecka.

8) Władysław Zgierski, lat 30, malarz pokojowy, stary kawaler. Małżeństwo, a dzieci to dwie zupełnie różne od siebie sprawy. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że małżeństwo stoi na przeszkodzie rozrodczości, gdyż mężczyźni nie płodzą dzieci, bojąc się małżeństwa i wszystkich z nim związanych ciężarów. Powinno się zatem małżeństwo zniesić, a zobaczyć, jak się chłopcy rzucą do dziewcząt i jak się dzieci zaczną sypać. Każda młoda kobieta będzie w ciąży — rączkę wam za to.

9) Jacek Nowak, kierownik aprowizacji w miasteczku Lipno — „Rzeczywiście sprawa przyrostu ludności jest sprawą pierwszorzędnej wagi gospodarczej. Przede wszystkim daje się odczuć dotkliwy brak męczyzn. Nie widzę innego sposobu, jak wprowadzenie na wzór dni zaradczych „dni bez męczyzn”. Sądzę, że to czasowo zażegna trudności na tym odcinku.

10) Aleksander Groszek, kierownik spółdzielni. — „Czy ja wiem? Jak za-

radzić? Może by wprowadzić premie? Na wsi za każde dziecko trzy morgi gruntu, a w mieście materiał na ubranie, albo radio. Albo za każde dziecko kwaterunek daję i pokój więcej. Napewno ilość dzieci się zwiększy.

11) Ewa Drops, akuszerka dyplomowana. — „Mówię panu, trzeba wybudować wielki „dom nieślubnych dzieci”. Matka przychodzi po zmroku incognito i w półciemnym pokoju pod pseudonimem oddaje dziecko na własność państwa. A w niedzielę każda ma prawo dziecko odwiedzić — przyjdzie jako ciotka. Mówię panu, — to świetna kombinacja. Każda na to pójdzie. Będzie ogonek.

12) Rafał Holba, urzędnik propagandy. — „Musimy tym zainteresować całe społeczeństwo. Wielka akcja, jak w walce z analfabetyzmem. Wszędzie na murach miasta slogany: „Co zrobisz dla sprawy powiększenia przyrostu?” Albo: „We wroście rozplodu — potęga narodu”.

13) Ireneusz Koński, woźny w Starostwie, lat 50 — „Komitety domowe powinny pilnować. Jeśli ktoś nie ma dzieci, zaraz zbadać czemu? co? jak? Perswadować, uświadamiać, jeśli nie posłuchają — do milicji.

14) Alojzy Piłkowski lat 60, urzędnik. (Ojciec trzech córek, z których najmłodsza lat 30). — „Nie ma innej rady, tylko wprowadzić wielożęństwo i to przymusowo. Każdy męczyzna, zdany do małżeństwa, musi mieć trzy żony, a niezdatnych obciążyć podat-

kami, które mają być obrócone na pomoc dla niezależnych małżeństw.

15) Zenobii Pietraszek, lat 42, kawaler. — „Moim zdaniem, nie może być mowy o racjonalnym przyroście, póki w stosunkach między płciami nie zapanaje demokracja. Czemu mężczyźni młodzi i przystojni są rozchwytywani, a brzydki, że tak powiem, pozostają w cieniu. Naprzykład ja — pozostałem starym kawalerem z powodu zęza, podczas gdy moje zdolności rozrodcze nie są wcale mniejsze od zdolności rozrodczych przystojnych męczyzn. Przeciwnie, gdy tańczy się z blazowanymi, z powodu nadmiaru powodzenia, mój nadmiar sił rozrodczych marnuje się bezużytecznie. Należy ustanowić prawo, że kobieta nie powinna odmawiać żadnemu mężczyźnie. A wtedy zobaczycie...”

16) Bożenna Wołowska lat 60, członkini zarządu stowarzyszenia Św. Józefa a Paulo. — „Czemu tak mało dzieci? Winien temu upadek duchowy społeczeństwa. Jaka na to rada? Modlitwa i pobożne praktyki.

## NA KARTKI NICI

Posiadacze kart żywnościowych i kart — otrzymają we wrześniu po 5 — 8 szpilek nici na karty lipcowe i sierpniowe.

## Na grafomana

Chciałbyś swoje nazwisko choć raz widzieć w prasie? Umrzyj — będzie nekrolog. Inaczej nie da się!

Władysław Smólski

## Odkrywamy nowe talenty

Od Redakcji

Jak wiadomo współczesna literatura satyryczna w Polsce opiera się na niewielkiej grupce ludzi, którzy stanowią zamknięty klan, kapliczkę, towarzystwo wzajemnej adoracji, sezam, paczkę, siwę itd.

Nowych nazwisk nie widać, choć piszących w Polsce jest bardzo dużo. Nie jest demokratycznie zbywać owych licznych autorów, którzy nie mają wpły-

wów, protekcji, dostępu i znajomości — bezlistosnym „nie skorzystamy”, „nie nadaje się”, „grafomania” itp.

Pismo nasze postanowiło walczyć z tym ohydny zwyczajem (będącym smutną pozostałością czasów sanacyjnych), wprowadzając kącik p.t. „Odkrywamy nowe talenty”. Zaczynamy od wyjątkowo zjadliwego utworu ob. Wl. Winklera z zachowaniem oryginalnej wersyfikacji i śmiałych inowacji w piśmowni.

## Prośba

Siedział dziad pod kościołem

Bijąc się w piersi i mówi

Za duszę wszystkich

Proszę was dajcie grosz

Niech nikt nie odmówi

Stanąłem jak wryty

Bo prośba ta każdego wzruszy

Żekłem ja dam ci tysiąc, dwa!

Tylko wydus mych dłużników,

Wydus wszystkich, co do jednej duszy.

Utwór powyższy nadał Wl. Wikleń.

## W/g A. Czechowa

Noc mrokiem okryła wieś, na dzwonnicy wybiła pierwsza, gdy adwokaci, Kozawkin i Łajew, wyszli z lasu, chwytając się zlekka na nogach.

— Uff, chwała Stwórcy najwyższemu, dobrnęliśmy — sapnął Kozawkin. — W naszym wieku przejść piechotą pięć wiorst — to ho, ho, wyczyn. Okropnie się zmęczyłem...

— A ja, Piotrusiu, przyjacielu kochany, jak za pięć minut nie położę się do łóżka, to umrę...

— Do łóżka? Zartujesz, bracie. Najpierw kolacyjka, czerwone wino, a dopiero potem — do łóżeczka. Już my ci z Wieroczką inaczej nie pozwolimy. Bo ty, stary cyniku, nie rozumiesz, jak dobrze być żonatym. Przyjdę ci ja teraz, zmordowany, zmęczony, a tu żona kochająca wyjdzie, poda herbatę, spojrzy swoimi czarnymi oczkami z przychylnością a czule, że zapomnę o zmęczeniu i o kradzieży z włamaniem i o sali sądowej i o departamencie kasacyjnym. Ach, jak, bracie, dobrze!

— Dobrze? Ledwie łażę. Nóg nie czuję, a pić mi się chce strasznie.

— Czekaj, jesteśmy w domu.

Obaj przyjaciele podeszli do jednej z will i zatrzymali się przy pierwszym oknie.

— Wspaniałe letnisko! — zaczął wyciać Kozawkin. — Jutro zobaczysz! Ale co to: ciemno w oknach? Wieroczką, widać się położyła. Leży sobie, niepokoi się, że mnie nie ma do tej pory.

Popchnął laską okno: otworzyło się.

— Uch — zmartwił się — jaka nieostrożna. Kładzie się spać, a okien nie zamyka! Wiesz co, zaśpiewajmy serenadę:

Płynie księżyc po niebie,  
Wiaterek ledwo drga,  
Wiaterek ten kołysze...



Śpiew Kozawkina nie obudził jakoś śpiącej żony. Adwokat stanął na kamieniu i wrzucił przez okno tużurek i teczkę.

## ZABŁAKANI

— No, Wieroczką — molestował — Wstań, anioleczku, najdroższa moja, i każ Aksynii, aby nam otworzyła! Zmęczeni jesteśmy, piechotą ze stacji idziemy i żarty nam nie w głowie, słyszysz? A i gościowi takie studenckie kawały mogą się nie podobać...

— A może żona naprawdę śpi? — przerwał Łajew.

— Nie śpi! Chce widocznie, abym się zaczął awanturować i obudził sąsiadów. Niech to diabli wezmą, podsadź mnie, Aliosza, włazę do środka!

Łajew z trudem podsadził kolegę, pomógł mu wskoczyć przez okno i zniknął w ciemnym pokoju po to, aby usłyszeć po chwili kłatwy.



— Licho nadało — krzychał Kozawkin — Tfu, ręce sobie czymś powaląłem. Cóż ta Wiera: kurnik założyła, czy co? A pójdziesz!

Przez okno wyfrunęły z gdańskiem dwie kury, a Kozawkin jednocześnie jęknął płaczącym głosem.

— Nie ma co, Aliosza — zabłądziliśmy. Tu jakieś kury czy indyki. Pomyliłem się, bracie, i tyle.

— No, to wychodź. Umieram z pragnienia!

— Zaraz, tylko znajdę tużurek i teczkę.

— Zapal zapalke!

— Ba, zapalke w tużurku. Diabli podkusili, aby tu leżeć, ale kto się wyzna w ciemnościach: wszystkie wille do siebie podobne. Psiakrew, indyczka dziobnęła mnie w twarz!

— No, to wylaz. Pomyślą jeszcze, że drób kradniemy.

— Zaraz, tużurka nie mogę odzyskać. Rzuć mi zapalke!

— Nie mam zapalek!

— No, i cóż-będzie? Nie zostawię przecież tużurka i teczki.

— E — oburzył się Łajew — gdybym wiedział, że takie historie będziesz wyprawiał, za nic bym z tobą nie pojechał. Pijanica, psiakrew, willi swej poznać nie może, a ja strasznie zmęczony jestem, pić mi się chce, głowa boli...

— Czekaj, nie umrzesz!

Adwokat westchnął głęboko, machnął ręką, określając w ten sposób beznadziejność sytuacji, i usiadł na kamieniu. Męczyło go pragnienie, morzył sen, a tam Kozawkin brewerze z kurami urządził.

— Piotr — zapytał — jeszcze długo?

Słyszając odpowiedź przyjaciela, że znalazł teczkę i znowu zgubił, zamknął oczy. Zafurkotało mu nad głową parę kur wylatujących z wille, a on myślał o Kozawkinie:

— Bydlak! Zaprosił, obiecał ugościć winem i kwasem, a zamiast tego kazał iść pieszo od stacji. Teraz ta heca z kurami...

Zdenerwowany oparł głowę o swoją teczkę i zaczął drzeć. Po paru minutach usłyszał przez sen triumfalny okrzyk Kozawkina:

— Znalazłem teczkę! Teraz poszukam tużurka i koniec, idziemy!

Tymczasem rozległo się ujadanie psa. Jednego, drugiego, trzeciego... Wycie psów połączyło się w dziką muzykę. Nagle nad głową sennego Łajewa zabrzmiały ludzkie głosy. Jakaś kobieta ze światłem w ręku stanęła obok. Przez okno zaczęli się wdrapywać mężczyźni.

— Ja jestem Kozawkin — krzychał mąż Wiery — Kozawkin, ad-

## Rys. R. Kańska

wokął przysięgły, magister praw. Oto mój bilet wizytowy!

— Cóż mi po pańskim bilecie — na to ktoś ochrypiłym basem — kury pan porozgniatał, jajka potłukł! Dziś — jutro miały się wykluczyć indyczka, a pan co? — Pogniótl i tyle. Na co, panie szanowny, się przyda wobec tego pańskiego biletu?

Łajew próbował otworzyć klejące się od snu powieki, czując, że ktoś złazi z okna. Poznał głos przyjaciela.

— Jestem Kozawkin — darł się adwokat. — Mam tutaj wille, wszyscy mnie znają, zaważać soltysa...

— Niech się pan łaskawy nie denerwuje. Zaraz przyjdzie policja.

— Nie macie prawa mnie zatrzymywać!

— Nie mamy? Ano, nigdy pana nie widzieliśmy.

— Mnie? Już piąty rok na letnisku w Zgnilych Wysialkach mieszkam!

— A no, masz, w Zgnilych Wysialkach. A czy tu Zgnile Wysialki? Chyłowo, szanowny panie, a Wysialki na prawo, cztery wiorsty stąd, za fabryką.

— A niech to diabli wezmą! Znaczący, złą drogą poszliśmy!

Ludzkie i ptasie krzyki mieszały się ze wściekłym szczekaniem psów, a wśród chaosu dźwięków łowi jeszcze Łajew podniesiony głos Kozawkina:

— Jak pan śmie! Ja zapłacę! Zobaczycie...

Głos raptem cichnie. Łajew czuje, jak ktoś go szarpie brutalnie za ramię.



Rys. K. Gans

ANATOMIA

Jan Czarny

# N a p a d

Mając serce przepelnione miłością, wracałem w radosnych podskokach do domu, w godzinie wieczornej. — odprowadziwszy uprzednio ukochaną na plac „Trzech Tak“, gdzie mieściło się jej mieszkanie. Droga wiodła przez park. Pod każdym drzewem parku siedziały parki, tak że zdawało mi się, iż stanowią one nieodłączną całość z drzewami, tak jak pień, korona itd.

Wszystko tchnęło majem i Mają (Berezowską). Wibrowało życiem, jakby powiedział lichy poeta. Drzewa sączyły soki z wilgotnej ziemi, a kochankowie nektar z wilgotnych warg... Rozczuliło mnie to na dobre. Wzdychając do gwiazd, zbliżyłem się właśnie do bezładnej części parku (z powodu braku ławek), kiedy czarny kot przebiegł mi drogę. Zapewne uczynił to bez złej woli, nieświadom zabobonu ludzkiego.

— Spotka go niebezpieczeństwo — pomyślałem niefrasobliwie, gdy myśl tę rzuconą pod koła Wielkiego Wozu przecięła sylweta jakiegoś ziemskiego ciała.

— REWOLWER! — skonstruowałem, posilkując się trzyletnim doświadczeniem wojennym.

— Nieinaczej! — odpowiedział mi niski, sympatyczny, męski głos, którego właścicielem okazał się pokaźny drab, ukryty w gęstwinie drzew tak, że tylko jego uzbrojona ręka, jak szlaban zagradzała mi drogę.

Zrobiło mi się gorąco, ale przypomniałem sobie, że w takich wypadkach należy oblać się zimnym potem, więc uczyniłem to bezwzględnie, co pomogło mi z kolei odzyskać zimną krew.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem.

Z krzaków padła odpowiedź nie wymagająca komentarzy:

— N A P A D!

— Na mnie?

— Tak na obywatela!

— Rabunkowy czy polityczny? — spytałem mechanicznie, przypominając sobie nagłówki z gazet i chcąc wygrać na czasie, co zwykle czyni się w takich momentach. Bandyta nie umiał mi odpowiedzieć, chyba dlatego, że nie łatwo znaleźć granice między tymi dwoma pokrewnymi dziedzinami.

— A więc — do rzeczy... — rzekł — Pieniądze masz?

— Przepraszam za dygresję, ale o ile mi wiadomo w takich momentach używa się zwrotu — „Pieniądze, albo życie“ — rzekłem, podając mu pusty portfel i wyciągając na zewnątrz podszewki wszystkich kieszeni. — Pogardzam nimi — dodałem.

— Czym — spytał bandyta — Pieniędzmj? — Jak można pogardzać tym, czego się nie ma?

— Właśnie dlatego ich nie mam, bo gardzę nimi. — rzekłem.

Bandyta opuścił szlaban. — Ja też nie wierzę w obecną walutę. — zaczął.

— Ale te nowe pięćsetcówki nie brzydkie... — próbowałem wtrącić — zwłaszcza w kolorze...

Bandyta przerwał moje wywody chrząknięciem, jakby mi chciał dać do zrozumienia, że przeszkadzam mu w pracy.

— Twarde masz? — zapytał swym sympatycznym, niskim głosem, w którym tym razem wyczułem nutę groźby.

— Życie — odparłem. — To musisz w takim razie mieć miękkie — wykrzyknął.

— Serce — odpowiedziałem ze słodyczą w głosie.

— O, to gorzej — on na to.

— Zapewne — próbowałem wtrącić — ludzkość nie docenia...

— Złote masz? — przerwał ostro.

— Myśli — odpowiedziałem...

— To czemu, u diabła, chodzisz po nocy, mrużąc, jakbyś zliczał całodzienny zarobek?

— Po nocy obserwuję gwiazdy i układam wiersze liryczne, które następnie drukuję w pismach satyrycznych.

Bandyta ponownie uniósł szlaban, tym razem przykładając go do mej skroni. Poczynam fachowym tuchem kupca włókienniczego dotknął poły mej marynarki. (Zawsze byłem zdania, że od kupiectwa do bandytyzmu nie daleko).

— Welna — mruknął.

— Przydziałowa — odparłem.

— Nie szkodzi, nie najgorsza, przyda się, nasz przemyśl włókienniczy ostatnimi czasy... (wzięte, zdaje się, z ostatniej mowy naszego ministra przemysłu).

— Tak — przerwałem — ale proszę sobie, panie bandyto, nie ostrzyć ząbków na ów wyrób przemysłu włókienniczego, który ostatnimi czasy... Jestem słabego zdrowia i jeśli zdejmę marynarkę przeziębnię się i z pewnością zachoruję na zapalenie płuc. — Strzelaj, wolę już śmierć, niż chorobę.

— Ściągnij pan w takim razie buty!

— Nie da rady, Ob, bandyto, lez pieska nie schodzą, chyba, że polatyguje się pan ze mną do mieszkania, piesek stoi pod łóżkiem... Albo rozcinaj pan cholewy, ale wtedy i psu na buty nie zdadzą się.

Bandyta milczał zafrasowany, widziałem przez krzaki jak stał z opuszczoną głową. Zrobiło mi się go żal. Wyciągnąłem do niego rękę, uzbrojona w papierosnicę, i podałem mu ogień. Iluż to ludzi musi biedaczysko napaść, aby natrafić na jednego ciepłego gościa. Z jaką ja stosunkowo łatwością zarabiam fraszkami!... Jednocześnie cudowna myśl skoczyła mi do głowy.

— Służę rękopisem — rzekłem, podając mu pięć przygotowanych do druku fraszek. Mogę podać adres redakcji... Jakby nie było, tysiącerek z czubkiem.

Odtąd codziennie przeglądam wychodzące pisma satyryczne, wypatrując owych pięciu fraszek.

## Pieśń dziadka o konkurencji



Jakie to teraz śmieszne przyszły czasy —  
Dawniej był jeden dziad, dziś całe masy —  
Na forse ludzie trzęsą się jak w febrze  
I każdy żebrze.

Bo gdy się ino ruszysz alejami  
Kwestarze brzęczą nad uchem puszkami  
To na kolonie, to na odbudowę  
Suszą ci głowę.

Niema w ojczyźnie ni jednej niedzieli,  
By ci jakiego znaczka nie przypięli:  
Aż człek spokojny czasem dęba staje  
Na te zwyczaje.

Dziadkowi ten się nie podoba sposób  
Że dzisiaj tyle jest proszących osób  
Przez konkurencję, jak widzicie sami,  
Pójdę z torbami.

**Franciszkanie klasztoru w Pawii oddali szefowi milicji w Mediolanie zwłok Benito Mussoliniego zawinięte w dwa nieprzemakalne worki.**



Rys. H. Tomaszewski

### BENITO NI OWO

**Z czego się śmiali nasi dziadkowie**  
(Kurier Świąteczny z 1871 r.)



— Proszę pana, już dłużej nie mogę z tą panią wytrzymać, i dziś odchodzę ze służby.  
— Oj! jakaś ty szczęśliwa, jabym to sam dawno zrobił gdybym tylko mógł.

# A N E G D O T Y

Pewien doktor leżał na łożu śmierci i przyjął wizytę jednego ze swych przyjaciół. Ten mu powiedział:

— Jeżeli masz, drogi doktorze, jakie ostatnie życzenie, to spełnię je chętnie. Może co na świecie chciałbyś polecić mojej specjalnej opiece? Z przyjemnością pragnę ci służyć.

— W takim razie, — powiedział doktor — zaopiekuj się trojgiem najmłodszych twoich dzieci, bo to moja sprawka.



Karol II przyjmował kiedyś pewnego urzędnika, spiąc z kapelusza okruszyny chleba swym ukochanym kaczkom.

— Panie — powiedział urzędnik — nie będę mógł powiedzieć ani słowa, zanim Wasza Królewska Mość nie włoży kapelusza!

— Daj waś pokój, — powiedział król — to nie przed panem zdjąłem z głowy nakrycie; to przed moimi kaczkami.



Ktoś czytał razem z żoną Pismo Święte. Trafiło się miejsce, gdzie stało, że Salomon miał trzysta żon i siedemset nałożnic. Żona jego powiedziała:

— Mylisz się chyba, mój drogi! Tyle żon i nałożnic?

— Patrz, sama przeczytaj!  
— Rzeczywiście — sprawdziła żona, — Mój Boże, — jakim ty byłbyś biednym Salomonem!



Doktor Cheyne z Bath i niejaki pan Tanley uważani byli za najkorpulentniejszych ludzi w Somerset. Pewnego razu, kiedy rozmawiali ze sobą po obiedzie, Cheyne spytał totego, dlaczego ma taki melancholijny i zadumany wygląd.

— Myślę — powiedział Tanley — z jaką trudnością będą nas nieść do grobu.

— Co do mnie — powiedział Cheyne — to mi jakich siedmiu lub ośmiu drabów wystarczy. Ale ciebie to będą musieli wynosić dwoma nawrotami.

Tristan Bernard otrzymał od jednej ze swoich wielbicielek pięknego jamnika. Zachwycony zwraca się do żony:

— Jak ci się podoba? —

— Owszem, niebrzydki, tylko ma za krótkie nogi...

— Nie narzekaj, mogło być gorzej — wszystkie cztery sięgają do samej ziemi.



Rys. Z. Wasilewski

— Pani Jadziu, którego dziś mamy?  
— Szóstego!  
— Biejącego?



Rys. Z. Wasilewski

— Kelner! Proszę bejszyk, ale duży, bo ja jestem nerwowy i każda drobnotka wyprowadza mnie z równowagi.

— Ach, doskonale, doskonale! I puls lepszy i język! Świetnie! Świetnie! Widać, że pan ściśle szedł za moimi przepisami.

— E, gdybym ściśle poszedł za nimi, złamałbym kark.

— Dlaczego?

— Bo wyrzuciłem je z trzeciego piętra przez okno.



W parę dni po przedstawieniu komedii Sheridana „Szkoła obmowy”, autor rozmawiając z przyjaciółmi o tym, jak sztuka ta została przyjęta, zapytał, jak na nią zareagował p. Cumberland.

— Wierz mi — odpowiedział przyjaciel — nie uśmiechnął się ani razu.

— To niewdzięcznik! — zawołał Sheridan — w ostatnim tygodniu, kiedy dawano jego tragedię, nie przestawałem się śmiać od początku do końca!



Ktoś powiedział o aptekarzu, że jest to człowiek, który umieszcza mało znane trucizny w jeszcze mniej znanym mu ciecie.



W Anglii istnieje towarzystwo pogrzebowe. Towarzystwo to, ogłaszając swe cele publiczności, kazalo wydrukować:

„Ponieważ istnieje wielka liczba osób, które nie mogą pochować same siebie...”



Kiedy pytano pewnego autora, dlaczego z taką cierpliwością wysłuchuje gadaniny pewnej starej damy, odpowiedział:

— Stare i bogate kobiety podobne są do kur: wysłuchujemy ich gadania, gdy towarzyszy im zniesienie jajka.



W operze „Zebrek” Gay’a, złodziej daje taki przepis alchemiczny, jak zrobić złoto z ołowiu: „Wkłada się dwie ołowiane kule do luf pistoletu i żąda się złota”.

## Panie Redaktorze!

Niech tam sobie nawet ktoś powie, że się podlizuję, ale jak mi się coś podoba, to lubię pochwalić. Więc ten dekret mieszkaniowy, co go teraz wydali, żeby wylać szabrowników i przydzielić mieszkania ludziom pracy to naprawdę panie redaktorze, sprawiedliwy. Dach nad głową musi mieć każdy, kto pracuje, żeby miał spokojną głowę do pracy.

Alé ja właśnie o tej sprawiedliwości. Już tych szabrowników zostawmy, pies ich trącał, a mówmy akuratnie o tych, co w ich sprawie ten dekret ułożyli — o pracujących.

A żeby mnie pan redaktor dobrze zrozumiał, to muszę jeszcze raz o sprawiedliwości. Ja, proszę pana, może jestem marzyciel i jak słyszę słowo sprawiedliwość, to mi się za-

raz Bóg wie co zdaje, że już naprawdę teraz ta sprawiedliwość zapanauje. To mnie się kręci w głowie, bo tu taki szum, a w tak zwanej praktyce to nie ze wszystkim tak jest. No, bo niech pan sam osądzi.

W naszej kamienicy mieszka na poddaszu profesor uniwersytetu i woda mu z przeproszeniem na łysinę kapie, a na pierwszym piętrze mieszka dyrektor fabryki w siedmiu pokojach z wanienką do kąpania i z gazem w kuchni i ślizga się całymi wieczorami po froterowanej podłodze z jedną żoną i z pieskiem — bo dzieci nie mają, a zapomniałem dodać, że ten profesor, co mieszka na poddaszu w jednej facjacie ma dzieci.

A w drugim wypadku to znowu tak, że w jednej izbie robotnik jako głowa pięcioosobowej rodziny, co mu dosłownie na głowie siedzi, bo nie ma gdzieinziej miejsca, a obywatel prezes od jakiegoś banku ma pięć pokoi z firankami w nowym domu.

Ja mu tam nie zazdrozczę, niech ma — ale ja tylko o sprawiedliwości. Ze jeżeli profesor jest demokratą, a jest, bo go znam jak z moją ciotką się kłóci, że jest głupia, i jeżeli dyrektor jest demokratą, i robotnik i prezes — to dlaczego jednemu woda na głowę kapie a drugiemu nie i dlaczego jeden się dusi w jednej izbie, a drugi lyka pięć razy tyle powietrza i zdrowo sobie wygląda. To mnie się wszystko męti i zaraz mi się o tej sprawiedliwości, jak to pięknie powiedziano, społecznej przypomina i, żeby nie przesadzić, febra mnie trzęsie.

Alé ja, panie redaktorze, jak pan wie, jestem jeszcze młody, więc

chciałbym wiedzieć czy jak się zaberają do wykonywania tego dekretu, to czy aby go naprawdę wykonają, czy to znowu nie będzie tylko gadanie. Może mi pan wytłumaczy, czy się przypadkiem nie mylę.

No, i niech mi się pan redaktor nie dziwi, że takie tematy poruszam, ale ja chodzę na takie wykłady do świetlicy, gdzie takie szlachetne mówią rzeczy, to i ja chciałbym sprawdzić, czy w życiu jest, albo czy będzie tak jak tam mówią. A jakby tak było jak tam mówią, to by było bardzo dobrze i jabym miał znowu co pochwalić, a jakby nie było — to nie.

Z powołaniem  
Ignacy Kojacki!